Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 51.** **Leszno, dnia 18. Czerwca 1836.**



Tarnów.

Miasto Tarnów dawniejszemi czasy leżało w województwie Sandomirskiem w powiecie Pilznieńskim. Ze przed rokiem 1330 wioską było, jasnym dowodem list króla Władysława Łokietka, z daty 20. Marca, wspomnionego roku, znajdujący się dotąd w oryginale w zbiorze dokumentów magistratu Tarnowskiego; w którym to liście Władysław król nadaje komesowi Spicymirowi Krakowskiemu wojewodzie w dziedzictwie swojem Tarnowie, zupełną i wolną władzę założenia miasta.

W nagrodę zasług tegoż Spicymira, szczególniejszemi obdarza to nowe (założyć się mające miasto) przywilejami; wyłącza z pod sądowéj mocy wojewodów, kasztelanów i sędziów, dozwala wybór wojta własnego, któremu dając moc rozstrzygania sporów cywilnych, nie odmawia i prawa miecza. Prócz tego dodaje, iż we wszy-

stkich prawach, podatkach i ogólnych sprawach miast, mieszczanie Tarnowa praw i zwyczajów stolicy Krakowa używać mają.

Następni królowie potwierdzili używanie tych przywilejów, listami swobodnemi.

Odtąd posiadacze Tarnowa od tegoż miejsca przyjęli nazwanie Tarnowskich, z których Jan, kasztelan Krakowski, wierny trzech królów minister, zwycięzca Wołochów pod Obertynem, najwyższéj potęgi i sławy osiągnąwszy stopień, głośne miał imię w całéj Europie.

Na synie tegoż Janie Krzysztofie, (w 30 roku życia 1567 r. umarł bezdzietny), zakończyła się wielkich Tarnowskich linia. Córka Zofia, poślubiona Konstantemu X. na Ostrogu, wniosła temuż wianem dobra Tarnów. W lat następstwie zlewkiem dziedzicznego prawa, spadła część jedna Tarnowszczyzny na Maryą Annę, córę X. Lubomirskiego Józefa, marszałka w. k.

Poślubił ją xiążę Paweł Sanguszko, i stawszy się poprzednio panem téj części, odzierżał późniéj hrabstwo całe. Małżonka tegoż druga Barbara z Duninów, miała na nim prawo dożywocia; którego się zrzekła na rzecz Hieronima X. Sanguszki, wojewody Wołyńskiego, Czerkaskiego starosty: dziś X. Władysław Lubartowicz Sanguszko, wnuk wojewody, jest tytularnym dziedzicem miasta i majętności Tarnowa.

Miasto to w pięknéj okolicy, u podnóża góry St. Marcina położone, małe jest w obrębie swojem; wszakże obszernemi przedmieściami swojemi wielką zajmuje przestrzeń. Nie podciągając w rachubę mieszkańców przedmieść, wyjętych z pod juryzdykcyi magistratu miejskiego, ludność onego do 4000 wynosi.

Jest siedzibą biskupa, sądów szlacheckich (forum nobilium), urzędu obwodowego i wyższych poborowych. Prócz domów kilku z podsieniami, kamienice składające rynek i ulice Tarnowa, nie sięgają dawnych czasów; owszem przypuścić wypada, iż miasto Tarnów, acz mocnemi mury obwiedzione było, w ich obrębie kilka wyjąwszy, drewniane domostwa miało, i przedmieścia drewniane. Wszakże starożytny ratusz, na rycinie oddany, z struktury swojéj daje się odnosić do XV. wieku; równie kościół katedralny, w którego wnętrzu znajdujące się olbrzymie, równych sobie nie mające w kraju grobowce Tarnowskich i X. Ostrogskiego, godne widzenia, w tem piśmie później opisanemi będą.

Tarnów ma 4 kościoły, wszakże szczególniéj gdzieś wspominki kościołek Ś. Marcina, na górze tegoż nazwania nad miastem się wznoszącéj. Acz drewniany, sięga czasów niemal pierwszych Chrześciaństwa w Polszcze. W przysionku wiszą kości Mamuta. Obraz Ś. Marcina ma rok 1626. Ważną i ciekawą w nim pamiątka czasów starożytnych, to jest łańcuch modrzewowy, wiążący dwie przeciwległe kościołka ściany, z jednego jest wyrobiony drzewa, i zamyka się na kłódkę drewnianą. Wieść niesie, iż go zrobił pasterz ciemny; kłódki odemknąć dotąd nikt nie zdołał. Opodal od tego kościołka, u schyłku góry rozwalają się ostatnie okruszyny zamku, co był gniazdem i siedzibą Tarnowskich. Przypuścić wypada, iż przed rokiem 1776 acz opuszczony i nie zamieszkały, miał jeszcze obszerne swoje mury, i może w całéj istniał okazałości, kiedy materyały z rozebranego zamku, wystarczyły na wystawienie klasztoru w mieście panien Bernardynek. To dzieło zniszczenia szacownéj starożytności, stało się za rządów X. Barbary z Duninów Sanguszkowéj. W poczet zdarzeń, odnoszących się do miasta Tarnowa ważniejszych, policzyć można następujące:

W roku 1528 przebywał w nim Jan Zapolski później Węgierski król, który w ucieczce przed Ferdynandem królem Rzymskim od Jana z Tarnowa przyjęty, przez miesięcy 6 po królewsku raczon i podejmowan był.

W roku 1561 przypada śmierć Jana Tarnowskiego; pogrzeb jego (opisany przez Orzechowskiego) i przejście Tarnowa w dom X. Ostrogskich.

W 1653 okropny mór powietrza. Miasto Tarnów straciło w nim ludności do 1500 dusz.

Roku 1655 pamiętny najazdem Szwedów. X. Balicki w swojém dziele: (Miasto Tarnów pod względem historycznym statystycznym topograficznym i naukowym: Tarnów roku 1831) daje opis tych wypadków następujący: „Ten rok pamiętny z napadu Szwedów. Ci albowiem w końcu m. Lipca liczne zebrawszy wojska, do Polski wpadli, a ta nie mając stałych sił wojskowych, odporu dać nie mogła; wzięli więc Szwedzi w niespodzianym pochodzie Wielką-Polskę, województwa Pomorskie i Kaliskie, dobyli Krakowa, Warszawy, i zamku wiśnickiego. Gdy niedobitki Polaków znajdowali się w Wojniczu, cała szlachta okoliczna w Tarnowie zgromadzoną była, gdzie pod przewodnictwem Władysława xięcia Ostrogskiego, walną składała radę, coby im czynić wypadło; ale popłoch przez Szwedów rzucony, tak był wielki, postęp ich tak nagły, że nic stanowczego uradzić nie mogli. Szwedzi tymczasem ucierając się z Polakami, nakoniec do ucieczki ich zmusili po niemałéj stracie, sami zaś szybko podstąpili na przedmieścia Tarnowskie; szlachta przestraszona, w różne rozpierzchła się strony; w nocy Szwedzi przyszli pod mury miasta, które ogołocone z obrońców, bramy im swoje otworzyć musiało. Według rękopismu OO. Bernardynów, dopuszczali się oni, pomimo przyrzeczenia spokojności, najdzikszych gwałtów; złupili nie tylko kościół i klasztór Bernardyński, ale całe niemal miasto, wymusiwszy nadto od obywatelów 5000 zł. Lecz nie tu koniec nieszczęść. Powtórnie kilkaset junaków Szwedzkich wpadłszy do Tarnowa, wymusili na przestraszonych mieszkańcach 6000 zł. obiecawszy za tę summę, wstrzymać rabunek. Ale nie dochowali słowa. Całe bowiem miasto, i wiele w okolicy dóbr szlacheckich, złupionych

zostało; pomimo tego, czterech z znaczniejszéj szlachty, to jest: Rorawskiego, Pisarskiego, Grabkowskiego i Lesińskiego, do niewoli ze sobą uprowadzili. Ogołocona ta część Polski z wojska, stała się otwartym łupem Szwedów. Wypadali z obronnych zamków, przez siebie zajętych, paląc i pustosząc. W roku następnym 1656 wszyscy niemal mieszkańcy Tarnowa, toż miasto opuścili; postradawszy bowiem majątki, w bezpieczniejszych stronach, życie przynajmniéj ratować chcieli. Szwedzi wpadłszy do Radława, dwór spalili, wielkie poczyniwszy gwałty. Działo się to za panowania nieszczęśliwego króla Jana Kaźmierza, i dopiero po zwycięztwach Czarnieckiego i Lubomirskiego, napady te ukończyły się. A. G.

X. Adam.

Legenda roku 1246.

Był w Franciszkanów świętym zakonie,
Mąż z cnotliwego żywota znan;
Czciły go ludy, i sam na tronie,
Polski go cenił i wielbił pan.
Choć pomiłował pokorę, skromność,
Cnoty swe tulił w klasztorny cień;
Ale Bóg zrządził, późna potomność,
Zywota jego ogłasza pień.
Na imię Adam: on się przerażał,
Słysząc o błędach pogańskich wieść;
Błaga Starszego, by mu rozkazał,
Ciemnym, naukę Chrystusa nieść.
I szedł na północ w kraje dalekie,
Gdzie się Prusaków zasiedlił lud;
Przybył nad Wisłę, i Wisłę rzekę
Głęboką, przeszedł szczęśliwie w bród. —
Drogą znużony, nie brał spoczynku,
Skoro wszedł w miasto, a wieczór był,
Napotkał mnogo luda na rynku,
Wśrodku się ogień chróstowy tlił.
A w koło ognia, chłopców i dziewek
Mnóstwo splątanych skakało par,
Przy głosie rogów, i dzikich śpiewek
Chróstem drażniło ognisty żar.
Skoro ucichły, śpiewy i gwary,
Wielebny Adam podniósł swój głos,
I mówiąc słowo Chrystusa wiary,
Runął na święty Prusaków stós.
Zdziwiona zgraja, patrzy i pyta,
Z jakiego kraju dziwny ten człek?
Poznał kapłana stary wróżbita,
I wściekłym gniewem miotany rzekł:
„To kapłan! nową niesie nam wiarę,
„On bluźni Bogom, na ogień z nim,
„Bogom uczynim godną ofiarę,
„Gdy jego popiół rozniesie dym.“
Ledwie wymówił, rozkaz wróżbita
Budzi się w ciżbie, okrzyk i gwar,
Przypada zgraja, kapłana chwyta,
I wrzuca w ognia okropny żar.
Lecz płomień wiatrem z góry ciśnięty,
Upadł, i dołem wił się jak wąż;
I stał śród ognia, ogniem nietknięty,
Na stosie Adam, pobożny mąż.
Zaszumiał wiater, w płomienie dmuchnął,
I tam, gdzie stary wróżbita stał,
Lawą gorącą i iskrą buchnął,
Spojrzeć — wróżbita ogniem już tlał.
A kapłan cały stoi w płomieniach,
Z głowy mu jeden nie spłonął włos,
I chwalił Boga w pobożnych pieniach,
I do zdziwionych podnosi głos.
A słowa jego ciekawie słucha,
Dziwem i trwogą przejęty lud;
I słowo wchodzi do ludu ucha,
Bo serce ludu otworzył cud.
I jeszcze w nocy nad brzegiem Wisły,
Do chrztu gotowy stał ludu ścisk,
A skoro ranne zorza zabłysły,
Nad miastem krzyża ujrzałeś błysk. *)

Wyimki z Pamiętników Paska.

Rok 1659.

Zdobycie wyspy Alsen.

Rok pański 1659 zaczęliśmy tamże w Haderschlewen, daj Panie Boże, szczęśliwie, gdzie zażywaliśmy i mięsopustu, lubo nie z taką przecie, jak w Polsce, wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę Alsen, która, że nam w tyle zostawała, dla tego też nam na wielkiéj była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano, i zdobycz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koło niéj wojsko brandenburgskie i z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nię nie śmieli, czyli też nie chcieli, jak to powiadają, że „kruk krukowi oka nie wykole.“ Wojewoda pojechał raz na rozpoznanie w trzysta koni, wprawdzie na przejażdżkę; nic nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość była wszelka, i na koń wsiadano. Jużeśmy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku, bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności i takeśmy jechali. W pewném miejscu odcięliśmy lód siekierami, bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; to samo uczyniła dragonia na drugiéj stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedziała w mieście i po wsiach. Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku téj odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć, bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; półki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek,

*) Wyjęta z Żywotów świętych naszych.



Czarniecki z bydowa wyspę Alsen.

stanął i kazał każdéj chorągwi odpocząć, a potém daléj. Konie już były do pływania probowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć; dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potém zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew, nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też, co przybywali na pomoc, przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym. Powiadali zaś więźniowie: „rozumieliśmy na was, żeście djabli, nie ludzie.“ O kommendanta tamecznego przysłał król duński z prośbą, żeby mu go żywcem dostawić, bo miał do niego wielką jakąś pretensyą; nie wiem, jak go tam witano. Po owéj robocie, jak się wojsko dorwało do ciepłéj izby, kto kogo mógł złapać, chłopa lub też kobietę, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrznąsnąwszy tedy owę wyspę, bo to nie wielka, jeno jéj siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam wojewoda na kommendzie grzecznego kapitana, szlachcica duńskiego, z ludźmi nowo-zaciężnymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali, i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały; wziął jednak wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomięszał ich między dragonią, w nagrodę tych, co przecie tu i ówdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie: gdzie drwa rąbią, tam wióry padają. Potém wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy ten rok pięknie się skończył wzięciem Kołdyngi z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się w fortunnie zaczął, wzięciem tak chwalebnie téj wyspy Alsen.

Miałem tam różne uciechy i zabawy, widząc takie rzeczy, których w Polsce widzieć trudno; ale i to uciecha, być przy łowieniu ryb na morzu, których cudowne rodzaje i cudowne są kształty, kiedy tego okrutne wyciągną mnóstwo; te, które mi się najpiękniejsze widziały i najlepsze, są złe i jeść się nie godzą, i odrzucają je na piasek dla psów i ptaków;

inne znowu choć dobre do jedzenia, to są tak szpetne, że i spojrzeć na nie brzydko. Jest tam także ryba tak straszna jak djabeł *), i mówiłem, że gdyby mi głód największy dokuczał, tobym téj ryby nie jadł. Ażtu kiedym był w domu ślacheckim, między innemi potrawami, (bo tam dają na stół mięso i ryby zawsze jednakowo) począłem rybę jeść, która mi tak wybornie smakowała, żem cały prawie półmisek wypróżnił. Widząc to szlachcic, rzekł: „Jestto ryba, którą pan djabłem nazwałeś.“ Zawstydziłem się niemało, alem jednak widział, że i oni ją smacznie zajadali; a druga, nie wierzyłem, żeby to ta była, bo mi się zdawało niepodobném, aby w tak brzydkiém ciele, miało być smaku tak wiele; później jednak nigdy jéj więcéj nie jadłem. Powiadał ten szlachcic, że ryba ta bywa wędzona, i sprzedaje się po czerwonym złotym funt; ale nazwiska jéj nie pamiętam, bo bardzo dziwne, jak i sama dziwna; łeb i ślépie jak u smoka, paszcza straszna i szeroka, a płaska jak u małpy; na łbie dwa rogi zakrzywione, takie jak u kozy dzikiéj, ale tak ostre, że się zakole jak igłą; na karku hak, mało co mniejszy od tych, co na głowie, zakrzywiony na tę stronę ku głowie, i już tak po wszystkim grzbiecie jeden za drugim, a coraz mniejsze, aż do ogona; sama w sobie okrągła jako pniak; skóra właśnie na niéj taka, jako jaszczór, co go do szabli zażywają, a po téj skórze haczki takie, jak i na grzbiecie, ale już drobniejsze, tak jak szpony u jastrzębia, a srodze ostre; byle go się dotknąć, to zaraz krew wytryska. Są i insze, bardzo cudne ryby, co jak ptaki mają skrzydła, nosy i głowy zaś jak u bocianów, i kiedy jéj łeb z worka dziurą wytknie, przysiągłby drugi, że bociana ma w worku; ale siłaby o tém pisać. Zażywaliśmy też tam różnéj zabawy na morzu wsiadłszy w bat. Kiedy woda spokojna była, to jeno było stać cicho, a ujrzało się



djabeł morski.

rozmaite gadziny i zwierzów morskich, cudnych ryb, a osobliwie w tém miejscu stanąwszy, gdzie jest trawa, z któréj sól robią, bo w tém miejscu tak jest morze przezroczyste, że na sto chłopów w głąb, obaczyć można najmniejszą rybkę, i cokolwiek pływa przeciwko owéj trawie, która tak się bieli w głębi, jako śnieg, i dla tego widać każdą rzecz naprzeciw owemu odbiciu promieni. Tę trawę rwą osękami żelaznemi; puszczają je na dno na długim sznurze, a tak wyciągają tę trawę i na brzeg wywożą, rozrzucającą po krzakach, a skoro uschnie, to ją palą i sól z tego robią bardzo dobrą. Ale nietylko trawa, ale i ziemia znajduje się taka, że kiedy potrawę jaką osolić trzeba, to biorą na miskę garść ziemi, a wypłókawszy ją wodą, zlewają tę wodę w garnek, gdzie za pół godziny zsiądzie się sól bardzo piękna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

*) Zdziwi się zapewne nieświadomy rzeczy Czytelnik, że istotnie jest na świecie ryba, nosząca to nazwisko, a którą zapewne Pasek miał na myśli. Dla dokładniejszéj w tym względzie wiadomości, załączamy obrazek tego potworu wraz z opisem z Jundziłła:

Koczkodan, czyli djabeł morski.

Ogromna głowa, która większą część téj ryby stanowi, jest najpewniejszym rozeznawczym jéj charakterem, a pysk niezmierny, zawsze otwarty, zębami nastroszony, mięsistemi wąsami otoczony, jest podobno przyczyną równie strasznych w różnych językach jéj nazwisk. Mieszka w północnym i południowym oceanie i w morzu śródziemném, długość jéj niekiedy trzy łokcie przechodzi. Jakożkolwiek postać téj ryby jest okropna, szkody jednak, które w innych gatunkach sprawuje, są mało znaczne; dla ociężałości bowiem swéj żadnéj doścignąć nie może. Ztąd ukrywszy się w zielsku morskiém, lub za skałami, na przemijające zdradziecko tylko czatować musi. Ryba ta przy swéj niezgrabności, zgłodu prawie zdychaćby musiała, gdyby przyrodzenie na jéj zachowanie nie dało jéj u pyska długich robakowatych wąsów, któremi gdy ruszać pocznie, ryby rzetelnemi robakami je być mniemając, chwytają; lecz temiż wąsami do pyska przyciągnione, w otwartą paszczę żywe się dostają. Żyje samotnie w miejscach nieprzystępnych, i dla tego łatwo się poławia. Angielscy rybacy w mniemaniu, iż ona wrodzonym jest żarłoków (Squalus) nieprzyjacielem złowioną nawet wolno puszczają. Mięso ma miękkie, które żabiemu ma być podobne.

Niedźwiednik.

(Dokończenie.)

Pan ojciec, dopiero za powrótem do domu, zobaczył, że syna stracił. Matka w saniach, i panny siostry bez pamięci, ze strachu nawet wysieść nie mogły: w całym dworze powstał lament i płacz wielki, porozsełano czeladź, ale szukano naprożno.

Skłonił się ojcu, i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby: tam mu

powiedział, jak mię uratował, i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak dziękować; płakał z radości, i całował mojego wybawcę.

Powrócili do komnaty, gdzie matka i siostry zapłakane siedziały. Ojciec kazał jednéj pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojéj: no, dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku. Żyje! zawołała: „Nietylko żyje, ale przyjechał: i zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i matce, a niedźwiednik płakał — i wszyscy. Kiedy chciał węgrzynem ojciec częstować, podziękował za wino, i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę jako pamiątkę. Jeżeli wielmożny chorąży powiedział ojcu, chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika, (bo i sam się tak z chlubą nazywał), często pan Tadeusz nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselą starego myśliwca. Niedługo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ściągnąć lisy z samołówki. Od tego czasu, zawsze co miesiąc, na cały do niego tydzień wyjeżdżałem: on mię wprawiał do strzelby, i mogę rzec bez chluby, mówił stary, że po nim w naszéj ziemi jak myśliwy rej wodziłem, a nie miałem jak szesnasty rok. Często spraszał mój ojciec przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie duże knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź, i szkody nie mało nam robił. Trzeba było go sprzątnąć: wiele sąsiadów myśliwych zebrało się razem; był i niedźwiednik: stałem blisko niego i mojego ojca. Prędko go psy poruszyły, pokaleczył kilku, i wypadł na drógę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę. Ku téj więc stronie rzucił się wściekły: przypuścił go może na cztery kroki, i wtedy podniósł jeszcze dekel, spojrzał, czy dobra nasypka; zmierzył, a z połyskiem powalił się niedźwiedź, ale tak blisko, że musiał uskoczyć, boby go przygniotł ogromem swoim.

Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięzca oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń, i schował do torby. Nadchodziły imieniny mego ojca; pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem, i bez strzału dwadzieścia par złowili. Wtedy niedźwiednik rzekł do mnie: No, mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieść: pojutrze imieniny; jutro ze świtem złapiemy dzika żywego, i tak zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy, co je wybraliśmy po jastrzębiu z pod rozjazdu. Serce biło mi z radości; jeszcze bowiem nie widziałem, jakto można wziąść żywego dzika w kniei. Mało co spałem; przed świtem już byłem na nogach ubrany. Niedźwiednik, wziął cztery kundle, zarzucił strzelbę, i wyostrzone przywiązał żelazo obosieczne. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilę, usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potém słychać jeno było ciche warczenie. Poskoczyłem, patrzę, i widzę jak na małéj łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi, i wnet pokazał się niedźwiednik: leciał prędko; widać, że pędził za psami, w ręku mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika, i sznurem surowcowym, co go miał zapasem, skrępował ryj dzika, wybił kły żelazem, a przebiwszy niém przednie pod kolanami racice, poza żyły tenże sznur przeciągnął i silnie związał. A ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny upadł. — Wtedy stanąwszy nad nim rzekł do mnie: Tadeuszku, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj; ruszymy do dworu pana ojca, z podarkiem myśliwskim. Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędzaliśmy konie; stanęliśmy przed wieczorem: ja ojcu ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy; a niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dzika, u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował, i prosił, by wyszedł zobaczyć podarek starego łowcy.

Już wiele było gości; wszyscy zdjęci ciekawością wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika, co obchodził w koło lipę! Ojciec mój rozradowany, wypił zdrowie z ogromnego puchara, dzielnego myśliwca, i sąsiedzi z radością powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście; a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec téj uciechy. Wtedy sąsiedzi porwali niedźwiednika na ręce, i nosili po całym podwórzu, śpiewając ową sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości, przy wieczerzy posadzono go na najstarszém miejscu; a co niepił nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn. We dwa miesiące, już płakałem nad jego grobem! Tu westchnął boleśnie stary Tadeusz. Jak żył tak i skończył: nie umarł zwyczajną śmiercią. Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Już wybrał się i niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem: kij ten czternastu już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska, wpadła rozżarta, wtedy wysunął się za drzewa; i ugodził ostrym dzirytem, ale ten się zsunął po kości: już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blisko stojąc usłyszałem jęk cichy, i chrzest łamanych kości. Zemściłem się, bo z mojéj strzelby poległa od razu; ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany. Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcéj oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko: a ś. p. mój pan ojciec wystawił piękny dlań nagrobek z kamienia, w tem miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć, jak upadał pod zajadłym niedźwiedziem.

Żebraki w Polsce.

W dawniejszych czasach, daleko więcéj było żebraków, niżeli ich teraz widzimy: nie odbył się żaden odpust, żadna uroczystość, żaden pogrzeb, a nawet weselny obrządek, bez licznéj dziadów kalwakaty. Lokowali się oni tłumnie lub też długim szeregiem przed kościołem, zwłaszcza podczas odpustu, gdzie częstokroć o dogodniejsze miejsce, wszczynały się pomiędzy nimi mordercze boje, w których długie laski i kule służyły za broń zaczepną i odporną.

Trzeba bowiem wiedzieć, że prócz istotnych kaleków lub zgrzybiałych starców, niezdatnych wcale do pracy, była dawniéj osobna klassa żebraków, rozradzająca się w mnogie pokolenia, tak dalece, że dzieci, towarzyszące zwykle rodzicom w ich żebrackich włoczęgach, dorosłszy, jakkolwiek zdatne do pracy, najczęściéj puszczały się także na żebrankę, i wchodziły, iż tak rzekę w chleb, który ich rodziców żywił. Żebrak z professyi, miał swój obwód, który corok po kilka razy obchodząc, mógł być pewnym swego utrzymania. Pobożność prostego ludu, upatrującego w każdym nędzarzu Łazarza, ułatwiała ten sposób życia, wzgardzony w prawdzie, ale lenistwu dogodny.

Dziady te, o których teraz mówię, stanowiące osobną, dość liczną klassę mieszkańców, robiły sobie z żebractwa formalne rzemiosło, i do niego sposobiły się starannie; do tego należała:

1od powierzchowność: odzież nędzna, wzbudzająca litość: kamzela brudna lub płaszcz podarty tysiącznemi łatkami upstrzony, czapka stara, dziwaczna, lub kapelusz duży okrągły, torby pod pachami z jednéj i z drugiéj strony, na plecach tłomoczek do zbierania kawałków chleba, szperek kaszy, grochu, legumin; w ręce miseczka, najczęściéj żółwia skorupka, w drugiéj paciorki duże z krzyżykiem, nadto kosztur z jeżem, a niekiedy jeszcze bicz około niego okręcony, dla odpędzania psów napastniczych; kule i szczudła, najczęściéj dla udania kalectwa przybrane; nadto rożek tabaki. Przytem broda długa, głos żebrzący, mina pokorna, pod którą nieraz ukrywała się przebiegła filuterya.

Drugą niemniéj ważną zaletę żebraka, stanowiła dobra pamięć, mnóstwo pacierzy, i biegłość w śpiewaniu nabożnych pieśni.

Trzeci, najważniejszy podobno przymiot: przytomność umysłu, dowcip i znajomość stósunków całéj okolicy. Albowiem po zmówieniu pacierzy, po odśpiewaniu nabożnych pieśni, których zwykle przytomni w chacie wieśniacy, z nabożeństwem słuchali, kiedy mu pozwolono spocząć i rozgościć się, dopiero zaczynało się jego właściwe powołanie; a napytanie: a zkąd tam idziecie, staruszku? cóż tam słychać? wszczynała się długa gawęda, (kronika całéj okolicy) zdradzająca najczęściéj doświadczonego i chytrego człowieka. Cóż dopiero, gdy żebracy zeszli się na swéj gospodzie, gdzie się nikogo nie żenowali, zwłaszcza na jakiém świętém miejscu, n. p. w Częstochowie lub w Tursku; tam to przy kieliszku, odkrywali całą swą przewrotność, a częstokroć najsprośniejsze obyczaje. Tam można się było przekonać, że ich pobożność, udaną tylko była maską, że modlitwę lub śpiew pobożny, poczytywali tylko za dzienną pracę dla zarobku. Tamto przechwalali się, jak musieli wrzeszczeć, aby wymusić na przechodzących jałmużnę, jak dobrze udawali kaleków dla wzbudzenia miłosierdzia. Tam dopiero za grosz podstępnie wyłudzony, oddawali się sprosnemu pijaństwu i innym występkom. Sam przypatrzyłem się żebrakom w Tursku, którzy, gdy przechodzący się zbliżał, przeniklivym błagali głosem: w imię boskie, pobożne duszyczki, dajcie wsparcie Łazarzowi, umierającemu z głodu i t. d.; a gdy tenże przeszedł nie dawszy jałmużny, wołali za nim szyderskim tonem: heh! co mi za Jegomość! udaje pana, a golec, nie ma grosza w kieszeni! a bodajeś przepadł, bodajeś kark złamał, bodaj cię ogniste, siarczyste .... i inne tego rodzaju miotali złorzeczenia. Powtarzam to, na com przed kilkudziesiąt laty własnemi patrzał oczyma: jak dziś jest nie wiem. Lecz na twarzach tych obłudników, malowała się złość szatańska, i wszelkiego rodzaju występki. Byli to zbrodniarze zasłonieni płaszczykiem Łazarza, którzy zrażali litościwe serca, iż potém istotnéj nędzy potrzebnego odmawiały wsparcia.

Litość nad nędzą bliźniego, jest najpiękniejszym czułych serc przymiotem: ona sama zdolna występnego nawet człowieka, zwrócić na drogę cnoty, i do niebieskich podwoi drogę mu utorować. Na temto szlachetnem uczuciu opiera się istnienie tylu tysięcy nieszczęśliwych braci naszych, którzy zgrzybiałością wieku przyciśnieni, lub dotknięci kalectwem, nie są w stanie zapracować sobie na własne utrzymanie, i z głodu umrzećby musieli, gdyby litośna ręka, nie podała im kawałka chleba.

Ale jak szlachetną jest rzeczą wspierać jałmużną ubogiego, słodzić jego nieszczęście; tak przeciwnie nierozsądkiem, a nawet grzechem, podsycać lenistwo i do próżnowania zachęcać.

Na końcu dołączamy pieśń dziadowską o Łazarzu, zapewne dość starą, zawierającą wiele trafnych myśli i dobitnych wyrażeń:

Pieśń o Łazarzu.

Co się stało przed laty?
Człowiek jeden bogaty
Z złota srebra miał szaty.
  Jadł, pił tylko, tańcował,
Dzień i noc bankietował,
Pychę w sercu swem chował.
  Jak pan, siedział w pokoju,
Miał dość potraw, napoju,
Niepomniał, że brat w gnoju.
  Widząc, że był w ucisku,
I leżał tam pobliskiu,
Potraw mu na półmisku
  Także ani z piwnice
Trunku ani szklenice
Nie wysłał na ulicę. Pan się etc.



Zebraki w Polsce (rysowała Pani M.)

Pan się w krześle rozpiera,
Z potraw usta uciera;
Łazarz głodu przymiera.
Bogacz wiwat! wykrzyka,
Dzień i noc gra muzyka,
Łazarz swe łzy połyka.
Łazarz przed wroty stęka
W ręku w nogach ból, męka
Bogacz się nic nie lęka.
Władnąć sobą niemoże,
Zła odzież, twarde łoże
Tylko wzdycha: mój boże!
W tém bogacz szedł z pałacu,
Łazarz był na tym placu,
Twarz od niego odwraca.
Tak serca kamiennego
Umysłu był pysznego,
Ze niewejrzał na niego.
Łazarz podniosłszy głowy,
Jak kaleka niezdrowy,
Żałośnemi rzekł słowy:
Ach bracie, idziesz drogą,
Wstąp do mnie jedną nogą,
Nawiedź duszę ubogą.
Niech cię serce zaboli,
Każ dać chleba i soli,
Widząc mnie w téj niedoli.
Zmiłuj się, wyślij wody
Kropelkę dla ochłody,
Widząc rany i wrzody.

Język ledwo przerzecze,
Z wierzchu, wewnątrz ból piecze,
Bracie, dobry człowiecze.
Poczynaj ze mną skromnie
Który leżę ułomnie,
Rzecz miłe słowo do mnie.
Nie brzydź się, luboś panem
Nędznym braterskim stanem,
Abyś niebył kararanym
Bogacz od niego w skoki
Podparłszy się pod boki,
Stanął na kilka kroki.
Rzekł: psie zgniły, co gadasz?
Obok to zemną siadasz
Że się bratem powiadasz?
I liczysz mi się bratem?
Nie znam cię, jak świat światem
Kłamiesz, żebraku zatem!
Mnie robią radła pługi
Mam karety mam cugi,
Czyś ty pan taki drugi?
Mam dwory, mam pokoje
Wirydarze, wod zdroje,
Robactwo skarby twoje.
Mam perły, mam banaki
Zwierzęta, różne ptaki;
Tyś człowiek ladajaki.
Mam aksamit, purpury,
Lisy, sobole, wilczury
Na tobie łachy, dziury.
Krzeseł, stołków sowicie,
Po ścianach mam obicie,
I mieszkam znakomicie.
Tyś w śnieciach bez chałupy
Jak pies jadasz z skorupy
A stoł twój z gnoju kupy.

Gdzie u ciebie bankiety
Marcepany, pasztety?
Jam ich wart ale nie ty,
Który leżysz o głodzie
Ni o chlebie ni wodzie
Nie liczże się w mym rodzie.
Wszkatułach na ostatku
Pieniędzy po dostatku,
Nie boję się przypadku.
A ktoż mnie z tych rozkoszy
Z majętności wypłoszy,
Skarby moje rozproszy?
Ty mi osoba jaka?
Plunął na mizeraka,
Złość bogaezowa taka.
I tak z tego rankoru
Szedł czem prędzéj do dworu,
Pełen pychy honoru.
Łazarz się zalał łzami,
Wzruszywszy ramionami
W niebo pojrzał oczami.
Od wszystkich opuszczony
I od brata żelżony,
Niczem nieobdarzony.
Choć bestye, z litości
Znosiły mu psy kości
Żywiąc go w téj słabości.
Liżąc rany zbolałe,
Lecząc wrzody zropiałe,
Krzepiąc ciało schorzałe.
I tak Łazarz w barłogu
Oddał swą duszę Bogu
Leżąc przy brata progu.
Wielka radość śpiewanie,
Gdy Łazarz miał konanie
W niebie tryumfowanie.

Z tak mizernéj pościeli
Łazarza w niebo wzięli
Święci pańscy anieli.
Posadzili na tronie,
Na Abraamowem łonie,
W szczęśliwości koronie.
Witaj, Łazarzu Święty
Tyś od Boga przyjęty,
Twoj brat będzie przeklęty.
Ty zażywaj wesela,
A twego dręczyciela,
Skarze sąd Zbawiciela.
Czasu wyszło dość mało,
A tak się wcale stało,
Czartów gmin przyleciało.
Czyniąc wielkie napaści
Bogaczu, już czas waści
Pójdź w piekielne przepaści.
Nieczyniąc testamentów
Z klejnotów, dyamentów,
Dosyć płaczow lamentów.
Po czasie wzdycha w strachu,
Widząc czartów w swym gmachu,
We drzwiach, w oknach, na dachu.
Gdy go śmierć dusić skoczy,
Na wierzch wylazły oczy,
Z gardła pianę toczy.
A w tem okrutni czarci,
Jako na zwierza charci
Srogim jadem zżarci.
Porwali go czemprędzy
Od skarbów, od pieniędzy,
Do piekła, wiecznéj nędzy.
Tam góre od dnia do dnia
Ten nieszczęśliwy zbrodnia,
Język jako pochodnia.

Z końcem roku drugiego istnienia Przyjaciela Ludu uprasza niniejszém Wydawca łaskawych Czytelników, aby wcześnie w najbliższych sobie Król. Pocztamtach lub Księgarniach przypadającą na następujące półrocze prenumeratę, w kwocie 1 Tal. 7½ sbrgr. (7½ złtp.), jak najspiesznéj złożyć raczyli, niechcąc doznać przerwy w odbieraniu co tydzień regularnie wychodzących Numerów.

Leszno, dnia 11. Czerwca 1836.

Ernest Günther,
Księgarz i Typograf.